LEKTURA WOLNYCH CHWIL

PEREŁKI NOWELISTYKI WSZECHŚWIATOWEJ

TREŚĆ:

WARSZAWA

Dwutygodnik artystyczno - literacki.

Cena 45 groszy.

Okładkę projektował PROF. F. WIECZORKIEWICZ.
Winjetki w tekście p. H. TEODOROWICZ-KARPOWSKA.
Minjatura „w Herbaciarni“ ilustrowana oryginalnemi japońskimi rysunkami.

Redakcja „Lektury Wolnych Chwil“ uprasza Szanownych Czytelników o zwrócenie uwagi przy kupowaniu następnych numerów na znajdujące się na ostatniej stronie kupony, które wycięte i przysłane w należytym terminie będą służyły do rozlosowania całego szeregu ciekawych i pożytecznych premji.

Szczegóły w następnym numerze.

ROK 1. 10 LISTOPADA 1925 R. ZESZYT 1.

Lektura Wolnych Chwil

DWUTYGODNIK ARTYSTYCZNO-LITERACKI

ABONAMENT:
ROCZNIE . . 10.— ZŁ.
PÓŁROCZNIE 5.50 „
KWARTALNIE 2.50 „

Redakcja i Administracja:
Warszawa,
Chmielna № 52. Telefon 73-38.
Konto P. K. O. 12.106
Godz. przyjęć redakc. od 12—1.

OGŁOSZENIA:
CAŁA STRONA 100.—ZŁ.
1/2 „ 60.— „
1/4 „ 35.— „

OD REDAKCJI

Czasy obecne przeżywane przez inteligencję polską przypominają losy Łazarza biblijnego, któremu nie dawano nawet okruchów ze stołu bogacza.

Człowiek prawdziwie inteligentny, uznający potrzebę pokarmu duchowego, nie ma zazwyczaj możności dostania go z powodu trudnych warunków życiowych. Stany posiadające przeważnie nie rozumieją doniosłości utworów o wysokiej literackiej wartości, zresztą nie lubią takowych. Wolą karmić się czem innem. Nic też dziwnego, że literatura pornograficzna lub sensacyjna ma powodzenie ogromne wsród niewybrednej publiczności. Prawdziwe klejnoty ducha są odrzucane, jako niepotrzebne okruchy.

Celem naszym jest zbieranie owych okruchów — perełek ducha i myśli.

Dajemy utwory drobne, gdyż warunki obecne nie pozwalają przeważnie ludziom inteligentnym na kupowanie utworów większych, a tem samem droższych. Z czasem zamierzamy i te większe uprzystępnić.

Inny jeszcze jest powód, dla którego dajemy pokarm prawdziwie artystyczny w formie krótkich utworów — noweli lub minjatur. Życie współczesne coraz bardziej się staje nerwowe; ludzie coraz mniej mają czasu, nie każdy więc może przeczytać spokojnie jakąś powieść większą lub dzieło o wartości estetycznej. A jeśli nawet i czyta, to w ten sposób, że zatraca całkowite piękno czytanego utworu. Niejeden więc pragnąłby w chwili wolniejszej, czy to podczas podróży koleją, czy w tramwaju, czy na przechadzce, czy nawet podczas przerwy w teatrze, zdobyć trochę pokarmu dla ducha.

Pismo nasze postara się odpowiedzieć temu zadaniu.

W ręce czytelników świadomych doniosłości słowa drukowanego, stojącego na wyżynie prawdziwego artyzmu, polecamy losy pisma.

REDAKCJA.

MARINO MORETTI

Kto miał możność przebywania nad morzem, ten nie zapomnie nigdy jego uroku. Dziwną jest potęga tych wodnych olbrzymich przestrzeni. Wszak godzinami całemi możemy się wpatrywać w dal turkusowych bezkresów i słuchać szumu morskiego. Ileż błogiego spokoju wlewa pobyt nad morzem, bez względu na to, czy powierzchnia jego jest równa jak gładka tafla szklana, czy też najeżona górami piętrzących się bałwanów wśród burzy.

Talent Moretti'ego wyrosły nad morzem, ma w sobie coś z cech tegoż morza. Czytając książki Moretti'ego, doznajemy wrażenia kojącego spokoju, mimo największych nieraz dramatów, przeżywanych przez bohaterów jego utworów.



Marino Moretti

Urodzony w Cesenatico w 1885 roku już od wczesnej młodości jako student w Bolonji, a potem we Florencji, próbował swych sił literackich. Zdobył też sobie w krótkim czasie sławę jednego z najznakomitszych pisarzy o nieprzeciętnej płodności i wybitnej oryginalności.

Niektóre z jego książek już się ukazały po polsku. Wśród nich jedna: „Moja matka“, polecona urzędowo przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Inne czekają sposobności ujrzenia światła dziennego na terenie Polski.

MARINO MORETTI

ROGACZ SENTYMENTALNY

(STREPSIADE O LE SCATTOLE)

NOWELA

Tłum. z włoskiego F. Baturewicz

Nie powiem, by firma *Provezza* i *Prevogna*, znajdująca się na placu, skądinąd ceniona i szanowana, jako firma poważna i wypłacalna, cieszyła się sympatjami Mamondy, małżonki prawowitej jednego ze wspólników (inny, Provezza, małżonki prawowitej nie miał). Nie powiem również, by pani Mamonda obdarzała względami najlepszego z przyjaciół swego męża, jego wspólnika i towarzysza: Provezzę. Ani też, by piękna ta pani (Rajmonda, a obecnie Mamonda, dawniej szczupła, obecnie korpulentna, dawniej niemal brzydka, teraz zaś *piękna*) przekraczając kiedy niekiedy próg fabryczki nie pokręciła noskiem, który może nie najlepiej się prezentował na twarzy pulchnej i rozpromienionej. Nie powiem, by nie irytowała ją nazwa *pudełkarza*, dawana jej mężowi, jak jakiemuś ordynarnemu Provezzie, któremu fabryczka taka mogła odpowiadać i było mu z nią do twarzy; firma bowiem *Provezza* i *Prevogna* produkowała jedynie puzderka, czyli pudełeczka czy kartony, wyklejane papierem ozdobnym, jedwabiem, atłasem, lub pluszem, pudełeczka, w których gdy się je otwarło, widziano jedynie miejsce na zawartość jakiegoś przedmiotu z bižuterji, samego zaś owego przedmiotu nie było. Słowem, mąż jej i Provezza byli pudełkarzami. Kręciła więc noskiem, wchodząc bardzo rzadko do tej fabryczki, kręciła ze współczucia dla męża swojego i ze wstrętu dla tego zapachu kartonów i kleju, nie mówiąc już o tych śmieciach z odcinków tektury, bawełny, z okrawków materji różnobarwnej, porozsypywanych wszędzie, o brudnych robotnicach i ich szefie, o schodach, podwórzu i wilgoci lokalu. Wolałaby, aby „fabryka jej męża“ była jakimś ogromnym zakładem, słynnym na całą okolicę, zatrudniającym całą armję robotników, z licznymi inżynierami i technikami na czele, z wprawiającemi w zdumienie

maszynami, sprowadzonemi z Belgji lub z Ameryki. O, wtedy z przyjemnością, z dumą królewską wkraczałaby w progi fabryki.

Lubiła „pudełeczka“ jednakże. Niekiedy, zażądawszy dla spędzenia czasu wzorów, przymykała powieki i marzyła o ślubnych uroczystościach arystokratycznych zmyślonych swych przyjaciółek, wybierając dla nich, jak również i dla siebie samej kolorowe puzderka. Wzory były naprawdę wspaniałe. Działem reklamy i propagandy zajmował się wyłącznie jej mąż. Od samego początku wspólnicy zgodnie podzielili swe obowiązki: Provezza, jako fachowiec objął kierownictwo fabryki, Prevogna odwiedzał okolice, pokazując wzory znajdujące się w walizeczce i zbierając zamówienia, przyczem nie szczędził swych uśmiechów, ani biletów wizytowych. Było to zresztą wszystko, co mógł uczynić osobnik podobny do niego, nie zdający sobie sprawy w jaki sposób wciąż maleć mógł jego majątek, choć przecież go nie trwonił.

— Eh, cała wina w tem — mówił Prevogna, — że nie mam szczęścia.

— Ale za to masz żonę — wtrąciła małżonka.

— Tak, to prawda. Zonę i Provezzę. Byłem rzeczywiście mniej szczęśliwy, pókim was nie napotkał. Bo i pomyśl, Mamondo: miałem nieszczęście urodzić się jednocześnie z mym bratem. Biedaczka matka moja urodziła nas naraz obydwóch, po urodzeniu zaś musiała przecież wykarmić. Nie wystarczało jednak mleka dla nas dwóch. Trzeba było więc zdecydować się, którego z nas miała karmić sama, którego zaś karmić koziem mlekiem. I czy myślisz, Mamondo, że matka wybrała mnie? Nie, moja droga. Wybrała Eurystesa, a dla mnie przeznaczyła kozę. I oto teraz Eurystes jest miljonerem w Medjolanie, a ja muszę sprzedawać pudełeczka.

— Więc jesteś zmęczony? Wolałbyś zmienić...

— Powiadam ci, że z pewnych rzeczy jestem zadowolony. Mam żonę i Provezzę. Byłbym niewdzięcznym nędznikiem gdybym na was narzekał. Na żonę i Provezzę! Na żonę i Provezzę! O, jakże można?!

— No, dość już tego, dość, Strepsydesie, — rzekła z wyrazem niesmaku.

Zwracając się do niego tonem pogardy, nie potrzebowała długo zastanawiać się nad wyszukaniem epitetu: wystarczało najzupełniej jego imię. Dość tego, Strepsydesie! Strepsydes! Gdzie wynaleziono imię podobne? W książkach? Musiała się poinformować bezwzględnie, gdyż wykształcenie jej nie dorównywało wyglądowi szlachetnie urodzonej osoby, za jaką siebie uważała. Dowiedziała się więc najprzód, że Strepsydes był to filozof grecki; potem, że Strepsydes był jedną z osób działa-

jących w jakiejś tragedji Sofoklesa; dalej, że to raczej była postać kobieca, Strepsyda, tragedja zaś w której działała Strepsyda była napisaną przez Eurypidesa. W końcu mogła wybierać dowoli między Eschylosem, Sofoklesem, Eurypidesem, a nawet Arystofanesem. Wszystkie te dziwne jakieś imiona wprawiały ją w kłopot niemały. Posiadanie niezbyt eleganckiego męża, nazywającego się Strepsydesem Prevogna, drażniło ją i upokarzało. Mamonda czuła się pokrzywdzoną przez los. Nie lubiła nawet willi swej na wsi, irytował ją napis złoty nad drzwiami: „Gwoli spokoju i ciszy“. Cóż to miało znaczyć? Że oni, to znaczy on i ona, samiuteńcy zupełnie, bezdzietni, jak nowożeńcy, jak kochankowie, mieszkali tam szczęśliwi... zdala od wszystkich? Mamonda się wstydziła. Piękny mi kochanek, piękny kochanek!

W pierwszych latach małżeństwa miłość i zdrada były dla niej czemś niezrozumiałem. Czytała romanse. W romansach przedstawia się miłość i zdradę, jako rzeczy donioślejszego znaczenia, dzienniki zaś podają przebieg procesów, gdzie przeważnie kobieta traktowana przez *niego* po barbarzyńsku wychodzi zwycięsko. Podniecały ją rzeczy czytane na wsi w ukryciu willi ozdobionej godłem: „Gwoli spokoju i ciszy“! Jakże rzeczywistość była odmienną od tego wszystkiego! Gdy Mamonda chciała doznać na sobie tych wzruszeń (korzystając z nieobecności męża, wędrującego z pudełeczkami swojemi), takowe nie dosięgały wielkiego napięcia. Wszedł w grę oficer, podporucznik! Jednakże zbyt silnych wzruszeń nie miała. Czuła się tak, jakgdyby męża wcale nie miała, nie miała obrączki, nie była niczem skrępowana. Strepsydes... Jakiś filozof grecki, jakaś postać z tragedji, czyjejże... czyjej?... i nic więcej, nic więcej. Zdradzała swego męża z podporucznikiem piechoty; zdradziła pół godziny temu; tak, była to zdrada prawdziwa, czarna zdrada; nie było nic platonicznego od samego początku, ale... cóż z tego? tylko tyle? czy się stała rzecz nie do naprawienia? czy już się „zaszło za daleko“? Bynajmniej nie czuła się mniej spokojną, niż po wypiciu jajka, czy po przechadzce samotnej. Lecz nawet i sam podporucznik nie podniecał jej zbytnio. Z czyjej winy? Z czyjej? Z winy Strepsydesa, naturalnie, tylko z jego, z czyjejże więcej?!

I oto w tej właśnie chwili zjawił się wspólnik Provezza.

Ten świetny typ ordynarnego zrzędy, który wpadł na pomysł założenia fabryki pudełek, przybrał wyraz powagi, pobudzającej do śmiechu podporucznika i panią Mamondę. Widząc jednak surowy wzrok jego, nie śmieli się wcale.

— Proszę siadać.

— Żadne „siadać“. Przyszedłem zaznaczyć wobec pani, że nie mam żony, lecz gdybym ją miał, musiałaby właściwie się

zachowywać. Pani wie zapewne, co to ma znaczyć. Tak. Rozumiemy się doskonale. Jeśli zaś moja żona musiałaby właściwie się zachowywać, nie mniej właściwie musi też zachowywać się żona mego wspólnika.

— Proszę siadać.

— Muszę powiedzieć pani, moja szanowna osóbko, że mężowie zazwyczaj są ostatnimi, którzy o czemś się dowiadują i z całą pewnością byłoby to też i ze mną; tym razem jednakże małżonek pani ma wspólnika, jestem wspólnikiem małżonka pani i oto dlaczego... Nie, nie, żadne „siadać". Rozumiemy się, moja osóbko. Ze mną żartów niema.

Cóż to za gbur! W sposób podobny odzywać się do pani! Nazywać ją „moja osóbko" i nie dostać nawet za to policzka! Przeciwnie jeszcze mu się mówi: „proszę siadać"! I dlaczego to wszystko? Dlatego, że robi pudełeczka! Fi!

Jednakże... nie było dla niej zbyt przykrem to upomnienie. Życie jej szare i jednostajne nabierało barwy, której ją pozbawiał Strepsydes. Nareszcie! Choć troszkę niebezpieczeństwa.

Chcąc zrobić żonie jakiś prezencik, Strepsydes dawał jej z miną uśmiechniętą puzderko. Różowe, błękitne, fjoletowe, lub innego jakiegoś koloru; atłasowe, jedwabne, aksamitne, pluszowe, lub z papieru zdobnego w kwiatki. I tylko puzderko. Mamonda naciskała guziczek, a gdy nakrywka nagle odskakiwała, spostrzegała, że miejsce na klejnot było puste i w głębi duszy nie mogła się zdobyć na podziękę. Był tylko przedmiot zawierający, brakło zawartości. I za cóż miała dziękować? Nie była przecież maleńką dziewczynką, by mogło zadowolić ją pudełeczko!

Lecz nie zawsze była tak chłodną dla powolnego sobie męża. Miała chwile smutniejsze w ciągu roku i ona, a wtedy przychylność jej graniczyła z naiwną pieszczotliwością dziewczynki. Oznajmiała więc jakąś prośbę maleńką swemu tyranowi. Czyżby dobry ten tyran mógł jej nie pozwolić na to lub owo? Strepsydes w sytuacji podobnej był bezradny. Zarówno trudno mu było zadowolić swą żonę, jak i zrobić jej przykrość.

Aż kiedyś nareszcie przymilając się słodko, z pewną może ironją w wyrazie swej twarzy, zaczęła mu mówić o biednych swych „zębach", nawet nie „ząbkach".

— Ach, mój Boże, czy wiesz Strepsydesie, prędko się postarzeję. Będę starą, brzydką, bez zębów i skończy się tem, że mną pogardzisz. Ty zaś masz takie zdrowe zęby. Co za uzębienie wspaniałe! Ale spójrz tu: ten ząb zepsuty, ten zepsuty... cztery zęby zepsute... Nie masz pojęcia, jak mię boli ten oto, na lewo, w głębi... Jakże jestem nieszczęśliwa!

— Więc trzeba, byś poszła do dobrego dentysty, Mamondo.

— Otóż właśnie: do dentysty!

— Słyszałem jak opowiadano cuda o tym niedawno przybyłym dentyście, który otworzył swój gabinet na placu w gmachu Montuschi. Przystojny...

— Tak, dość przystojny!

— Czybyś chciała rozpocząć leczenie zębów? Ile wizyt musiałabyś zrobić?

— Nie wiem napewno. Zobaczymy. Zacznę jutro. Więc zdecydowane: jutro! Czy... może się nie zgadzasz?

— Ależ dlaczego? Czy może chcesz bym ci towarzyszył?

— Byś mi towarzyszył? Poco?

Powtórzyła kilkakrotnie mrucząc, do siebie:—Poco? poco? Jeszcze co!? Ach jakiż to przystojny... śliczny chłopak!... — Przymykała oczy, by lepiej przypomnieć sobie wyraz twarzy tego pana młodego który otworzył „nowoczesny gabinet dentystyczny" w gmachu Montuschi na pierwszem piętrze, a który jej się podobał od pierwszego wejrzenia. Czuła jak drżało jej serce, ilekroć spojrzała na ogłoszenie tego pięknego młodzieńca, znajdujące się na trzeciej stronie *Komara*. Miły chłopak! I znowu siedziała przymknąwszy powieki, aż Strepsydes, dotknąwszy ramienia jej ręką zapytał ze współczuciem przerywając milczenie.

— Dolega ci?

— Ach, cierpię ogromnie!

I zaczęły się wędrówki Mamondy na pierwsze piętro domu Montuschi. Dentyści starzy, dotykając zabrudzonemi tytoniem palcami chorych dziąseł ledwo ujrzą ząb zepsuty, wręcz powiadają: — Ten ząb do niczego... — i wyrywają bez ceremonji znieczuliwszy uprzednio ból przez zamrożenie; lecz dentyści nowocześni unikają używania obcęgów i wolą chodzić koło zębów z haczykami w swych palcach w ten sposób, by paniusia mogła podać miłą wiadomość małżonkowi swojemu:— Muszę zrobić cały szereg wizyt. — Mamonda wracała do domu o zmroku, podniecona, zmęczona, z oczami lśniącemi jeszcze od łez, z rozczochranemi włosami, poszarpanemi niby z bólu z chusteczką przy ustach, niby celem powstrzymania szlochów ostatnich. Ach, jakże ją męczy ten przybysz dentysta! Znalazł sobie zabawkę ten młokos i znęca się nad wszystkimi po kolei zepsutymi ząbkami biednej... biednej pani, która sobie musi je leczyć i ponaprawiać. Ponaprawiać! Ach cóż znowu!! Do licha! Przecież to nie jest odrestaurowanie domu! Dość tego!

Teraz obowiązkiem Strepsydesa było przekonanie Mamondy, że... przecież trzeba... trzeba...

— Wytrwać! Zechciej przecież zrozumieć, że skoro się raz rozpoczęło, gdy tyle już się na to wydało... Trzeba wy-

trwać. Będziesz miała za to złote ząbki... Będziesz wyglądała ślicznie, gdy się uśmiechniesz...

— Ach, nie wiem, nie wiem, co mam robić... Muszę się namyśleć... Zdecyduję się w ciągu nocy dzisiejszej...

Podczas gdy mąż z walizką w ręku odbywał swe zwykłe wędrówki i musiał nocować gdzieś w okolicy, Mamonda wracała do domu nieco później. Wracała z uczuciem przykrości. Wolałaby również i ona gdzieś przenocować poza domem; lecz sama nie wiedziała gdzie. Wybrnąć raz z tej monotonji! Jakże nudne to łoże małżeńskie! Skoro zaś Strepsydes wrócił ze swojej wędrówki, Mamonda, chcąc powetować krzywdę doznaną, wyciągała go ze sobą na spacer.

— Tak mało mam z ciebie pociechy, że przynajmniej słusznie mogę żądać od ciebie, byś pospacerował ze mną pod rękę parę razy na miesiąc. Jestem przecież twą żoną i mam swoje prawa. Mam prawa, czy nie mam? Pytam ciebie!

Strepsydes cały się oddawał na jej usługi, ciesząc się z tego w duchu. Przecież to satysfakcja dla takiego mężczyzny nie pierwszej młodości, jak on, podać ramię swej żonie, jeszcze pięknej i świeżej, napudrowanej i ufryzowanej! Satysfakcja ta niedługo jednak trwała. Mamonda przebiegała plac główny, przebiegała zaludnione i jaśniej oświetlone ulice, ciągnąc go tam gdzie się rozściełały cienie nocne, w głąb tajemną, tam, gdzie się błąkają pod murami od drzewa do drzewa pary nieliczne... Mamonda nie czuła się zadowoloną, póki jej nie okutały ciemności.

— Poco tam idziemy? czemuśmy tu przyszli? dokąd mię prowadzisz? — pytał biedny Strepsydes nic nie rozumiejąc.

— Tu, tu... Czy nie widzisz, jak tu pięknie?

— Pięknie? O, widzisz, omal nie upadłem...

— Podtrzymuję cię przecież. A teraz możesz się do mnie przytulić i... i... pocałować...

— Mamondo!

— Strepsydesie! Czy widzisz tam cień jakiś pod drzewem? Któżby to mógł być. Może to...?

— Policjant?

— Provezza! Współwłaściciel firmy *Provezza* i *Prevogna.* Ale pewno nie! Bo i cóżby on tu robił?... Przytul się... Pocałuj mię... No, wracajmy już, Strepsydesie...

Wracali do domu w milczeniu ulicami ciemnemi, prześlizgując się pod murami ukradkiem, jak kochankowie szczęśliwi; i Strepsydes naprawdę takim się czuł, zdobywszy całusa. Gdyby tam nie był obecny Provezza, Strepsydes czułby się odtąd szczęśliwym bez granic.

* * *

Provezza jednakże szpiegował. Ten brutalny, nudny zrzędliwy i straszny wspólnik czuwał nawet z wnętrza swego gabinetu, stolicy królestwa pudełek.

— Usiądź, Prevogna, — rzekł mu razu pewnego głosem innym niż zwykle, tonem takim, jakgdyby nie uważał go za swego wspólnika, za współwłaściciela firmy *Provezza i Prevogna*. — Czas już...

— Rozumiem. Czas już obmyśleć nowe modele puzderek ślubnych, gdyż zaczynają konkurować wyroby...

— Ale gdzież tam! Nie mówię wcale o sprawach handlowych. Chcę mówić o czemś, co... co dotyczy pani Mamondy...

— Mamondy?

— Dość już tego dentysty! Dość już! Przez dwa miesiące już się ciągnie ta bieganina.., Nie bez racji ludzie o tem gadają. Rozumiesz? Nie bez racji. Dwa miesiące, dwa całe miesiące trwa leczenie zębów.

— Bardzo mi przykro, Provezza, ale... Nie przypuszczałem, że ci się może to nie podobać... Lecz są to rzeczy poważne... konieczne... Uzębienie... ząbki. . kobiece..

— Dość tego! Uważam za swój obowiązek zwrócić ci uwagę, jako wspólnikowi swojemu; twoim obowiązkiem jest wzbronienie odwiedzania dentysty; jej zaś obowiązkiem jest słuchać męża. Rozumiesz?

— Ale to niemożliwe! Nie można przecież tak się unosić, być tak surowym.. brutalnym.,. w stosunku do kobiety... To są rzeczy dość delikatnej natury... Usteczka! Cóż może być delikatniejszego, Provezza? Ty nie masz żony... nie wiesz...

— Prevogna! — krzyknął rozgniewany wspólnik, uderzywszy pięścią o stół. Miejże rozum! Bądźże *nareszcie* mężczyzną, Prevogna!

— Mężczyzną? A czyż nie jestem mężczyzną — zapytał zmieszany Strepsydes. — Nie rozumiem... nic nie rozumiem... Biedna żoneczka moja ma uzębienie zepsute... — (uczynił gest rycerski, zniżając głos przy wymówieniu słów ostatnich) czyż więc mógłbym jej nie pozwolić, ja, jej mąż?... Doradziłem nawet tego nowego dentystę, który przybył tu do nas... i otworzył „gabinet nowoczesny" na pierwszem piętrze gmachu Montuschi. Leczenie długie... lecz za to dokładne... choć może bolesne... Bardzo cierpi biedaczka... I nic dziwnego: szczypczyki, haczyki...

— Pytam cię jednak, wzbronisz jej biegania do niego, czy nie?

— Ależ, byłoby to... byłoby to okrucieństwem z mej strony...

— Dajmy temu spokój! Mówmy o sprawach handlowych. Mówisz więc, że puzderka ślubne...

Ach, nareszcie, temat rozmowy zmieniony! Puzderka... pudełeczka.

Strepsydes wrócił do domu spokojny i z błogością w sercu. Na razie miał lekko napomknąć Mamondzie o rozmowie z Provezzą, nie przywiązując wagi do tego, chciał wyśmiać wspólnika, nieuznającego „higjeny ust". Przezwyciężyła jednak roztropność. Zapytał: — Kiedy kończysz swoje leczenie, Mamondo?—Pani odrzekła, że nie wie. Czuć było nawet zdenerwowanie w jej głosie: — Skądże ja mogę o tem wiedzieć? Pytasz mnie? Jego zapytaj! — Jego, rozumie się dentystę, nie Provezzę. Strepsydesa upokorzyło to *jego*, wyrzeczone z grymasem wymownym. Mamonda zaś wyraziła swoje zdziwienie, że mógł zwrócić do niej podobne pytanie, bardzo niewłaściwe i przykre. Następnego jednak dnia, w chwili gdy wchodziła w bramę z czasów Settecento gmachu Montuschi, postać ordynarna stanęła przed nią, zagradzając brutalnie jej drogę, niby jakiś policjant.

Był to Provezza, współwłaściciel firmy *Provezza* i *Prevogna*.

— Dokąd-że to?

— A co panu do tego? Idę, gdzie mi się podoba. Proszę mię puścić, gdyż inaczej zawołam na ludzi!

— Proszę bardzo! Zrobimy mały skandalik! Dla męża pani to będzie z wielkim pożytkiem!

— Dokąd idę? Czy pan nie widzi? Do mego dentysty! Za zgodą... za zgodą mego męża...

— Ale bez mojej. Bez mojej zgody.

— A cóż to pan jest może mym bratem? czy może kuzynem?

— Wspólnikiem, wspólnikiem, współwłaścicielem firmy!...

— Owwa! — odrzekła, kręcąc swym noskiem niewielkim. — Owwa! Królem pudełeczek.

— Dziwię się, że pani tak mówi. Pudełeczka te właśnie dają wam utrzymanie. Bez pudełeczek nie mogłaby pani wycałowywać się ze swoim dentystą. Ale dość już tego! Zrozumiano? Do domu, do domu! Leczenie skończone! To ja, Provezza, wspólnik męża pani, powiadam za niego: *dość już.* Jeśli panią nie obchodzi honor męża, mnie obchodzi honor mego wspólnika...

Zebrało się trochę ludzi przed bramą domu Montuschi i na schodach. Ciekawe głowy wysuwały się ze wszystkich okien wspaniałego gmachu. Z drzwi sklepów wyglądali subjekci i kupujący. Kelnerzy wybiegali z wielkiej kawiarni z serwetkami pod pachą. Pani Mamonda wrzeszczała, jakgdyby rżnięto jej gardło. Wtem jakaś dorożka zatrzymała się przed historycznym tym domem. Pani prawie omdlała wsiadła do dorożki. Skandal!

Provezza, zadowolony, a może raczej podniecony, rzucił

jakieś słówko za dorożką, jadącą przez plac, poczem zwrócił się do ciekawych, mówiąc pogardliwie głosem ochrypłym: Król pudełeczek! król pudełeczek! — i odszedł.

*

* *

Lecz, czyż człowiek interesu, jak Provezza, zakochany w swej fabryczce, w swym kartonie, w swym pluszu, w swym kleju, mógł stać ciągle na straży przy bramie gmachu Montuschi, sprofanowanego przez zawieszony na nim szyld najzwyklejszego wyrywacza zębów, nazywającego siebie odontotechnikiem? Nie mógł w żaden sposób! I wobec tego wspólnik Prevogna bez względu na skandal niedawny, nie mógł zabronić swej małżonce leczenia w dalszym ciągu zębów, nie mógł być przecież okrutnym w sprawach tak niezbędnych, w sprawach tak delikatnej natury, jak ząbki w ustach kobiecych. Mamonda dumnie wzgardziła ciekawością placu i w dalszym ciągu wkraczała na schody domu Montuschi, chociaż nie z tą samą zapewne niechęcią, z jaką się wogóle idzie do gabinetu dentysty.

Provezza przegrał. Mamonda odnosiła zwycięstwo.

— Ach, Strepsydesie! Teraz cię doskonale rozumiem. Teraz wiem, dlaczego wracasz czasem do domu z mętnym wzrokiem, roztargniony... Mieć podobnego wspólnika! Znosić takiego gbura, jego zachcianki... Warjat! Jak się możesz dogadać z warjatem?

Pochyliła głowę, trzymając ozdobioną klejnotami rączką chusteczkę przy ustach. Należało sądzić, że wciąż jeszcze ma bóle, mimo dwóch i pół miesięcy leczenia i doznanego skandalu.

— Dokuczają ci?

— Ach, cierpię bardzo!

Musi cierpieć zapewne trochę z winy dentysty, a trochę z winy wspólnika Provezzy. Gburowatość, dziwactwa tego człowieka, potępione przez Mamondę, spostrzegł teraz i on. Ów wspólnik, Provezza, był może niczem więcej, jak tylko jednym z najzwyklejszych robotników pudełkarzy, gdy tymczasem on, Strepsydes Prevogna, był urodzonym panem, niemal szlachcicem, dość, że przecież miał brata miljonera w Medjolanie. Gdyby mu nie stanęły na drodze pudełeczka... gdyby się nie dał porwać tym pudełeczkom... Mamonda powiadała mu, że musi teraz nienawidzieć wspólnika Provezzę za afront podobny; Strepsydes próbował czynić to codziennie, tak podczas swych wędrówek z próbkami, jak w fabryce, zdaleka lub zbliska; czy to mu się jednak udawało?

Nieskończone razy ta bestja obdarzała go swoją zwykłą ordynarną szorstkością. Żądać od niego wyjaśnień w gabinecie w fabryce, było niedorzecznością. Skończyło się tem, że Strepsydes w głębi duszy nie zarzucał braku pewnej dozy delikatności tej bestji, gdyż od jakiegoś czasu już nie słyszał imienia Mamondy. I doskonale. Każdy niech pilnuje swego domu. Co mają wspólnego pudełeczka z Mamondą?...

Tymczasem pewnego dnia około drugiej po południu, gdy małżonkowie siedzieli przy stole (on czyścił wykałaczką zęby, na szczęście jeszcze nie popsute, ona zaś, jak to często czyniła, była *wpatrzona w dal*), przyszedł ktoś z wizytą i to nie byle kto, Provezza. Pani domu ani drgnęła: w dalszym ciągu była *wpatrzona w dal*. Strepsydes miałby ochotę wyrzucić za drzwi swego wspólnika. Po chwili już jednak odezwał się doń gościnnie.

— Ach, cóż to za zaszczyt nas spotyka? Kawy! Dirce, podaj panu kawę!

Provezza wszedł w płaszczu, nie zdejmując go. Znak, że wizyta niedługa. Nie chce siadać by się nie rozbroić w swych zamierzeniach. Wymawia się od kawy ruchem ręki pełnym godności.

— Ależ proszę bardzo: filiżaneczkę kawy...

— Nie, nie, nic absolutnie.

Jakgdyby chcąc raczej panować z wysoka nad tem małżeństwem siedzącem u stołu, Provezza się oparł o stół, okrywając dłońmi wielkie kieszenie swego płaszcza, wypchane papierami. Mogło się zdawać, że chroni tam ważne jakieś dokumenty. Mąż wśród ciszy i ogólnego zaambarasowania spoglądał dokoła z pewnem przerażeniem. Żona czyniła wrażenie obojętnej, odważnej, dumnej, gotowej stawić czoło niebezpieczeństwu, igrać z ogniem.

— Czy mogę? — zaczął Provezza ze strasznym wyrazem na twarzy, wskazując na świętokradzkie swe usta.

— Mó...wić? Cóż znowu? O Mamondzie? Jakże to? Wspólnik... przyjaciel...

— Więc mogę?

— Cóż znowu? Wspólnik... przyjaciel...

— Więc mówię ci, mówię ci, Strepsydesie Prevogna, współwłaścicielu firmy *Provezza* i *Prevogna*, mówię ci, żeś jest niedołęgą a nie mężem. Rogal, rogal, sto razy rogal, tysiąc razy, dziesięć tysięcy razy, sto tysięcy, jeśli nie miljon razy, jeśli i tego mało, sto miljonów razy, a jeśli i tego za mało... Rozumiesz, rozumiesz? A szanowna osóbka co na to?

Oszołomione małżeństwo siedziało patrząc nawzajem na siebie i nic nie mówiąc. I czego chce od nas ten opętany wspólnik?

— A jeśli i tego za mało... No i cóż? Skandal na placu nie wystarcza? Zobaczymy, czy wystarczy skandal w domu. Przyszedłem ci powiedzieć, Strepsydesie Prevogna, współwłaścicielu firmy *Provezza* i *Prevogna*, rogalu od pierwszego dnia twego pożycia małżeńskiego, od pierwszego dnia, aż do ostatniego dnia, aż do śmierci twej. Amen. No i cóż? Ty tego nawet nie spostrzegasz? Nie masz oczu ani uszu? Ale jest Provezza, wspólnik twój i współwłaściciel firmy *Provezza* i *Prevogna*, który tu przyszedł, by ci powiedzieć bez ceremonji wobec twej żony... Póki bezwstyd twej żony nie przekroczył jeszcze granic i mogło się wydawać zwykłą rzeczą, żeś nic nie widział i nie słyszał, wtedy milczałem i ja, litując się nad tobą, lecz... lecz nie chcąc przykładać swej ręki do nieporozumień między mężem a żoną, zatrzymywałem w fabryce wszystkie listy anonimowe, przysyłane pod twoim adresem. Przychodziły te listy tuzinami ciągle przez lat dziesięć. I oto teraz, teraz masz niezliczone ich mnóstwo. Oto, masz!

Deszcz różnokolorowych kartek spadał na stół, na dywan, na głowę Strepsydesa, na głowę Mamondy. Zdawało się, że aż się uginały plecy Strepsydesa pod tym deszczem, czy gradem, czy chmurami całemi owych listów anonimowych. Chroniąc się, jak od szarańczy, Strepsydes cały się skulił. Mamonda osłupiałym wzrokiem patrzała na swego kata, nie mogąc ust swych otworzyć, nie mogąc stawiać oporu, jak nie mogła go też stawiać na placu.

— Czytaj, czytaj! No i cóż? Nie czytasz?

Małżonek wziął kartkę, posłuszny władczemu gestowi ręki wyciągniętej oszalałego wspólnika.

— Czytaj, czytaj!

Nie mógł czytać jednakże.

— Oto pismo humorystyczne! Podziwiaj ten obrazek: żona twoja w objęciach dentysty w jego gabinecie. Inne pismo humorystyczne z przed lat trzech: żona twoja w uściskach oficera. Spójrz tu: żona twoja trzyma na kolanach jakiegoś chłopaczka młodziutkiego: gorszycielka młodzieży. Jakiżeś ty śmieszny! Brałeś żonę swą do teatru, żona siedziała obok ciebie na fotelu, a ty nawet nie widziałeś, że ona lornetowała swego dentystę, czy też oficera; owszem, z błogim wyrazem na twarzy cieszyłeś się, że jesteś z nią na przedstawieniu, szczyciłeś się, że jest piękna, zdrowa i dobrze ubrana. Często też chodziła z kochankami swoimi w ciemne bezksiężycowe wieczory... daleko za miasto.

W tej chwili małżonek stanął na nogi, przybierając straszny wyraz twarzy.

Nieprawda! Nieprawda! Kłamstwo, kłamstwo! Tam za miasto w bezksiężycowe wieczory moja żona chodziła ze swym mężem, ze mną!

Siedź głupi! Chodziła tam z tobą od czasu do czasu umyślnie dla zamydlenia oczu. I nie widziałeś nawet tego, jak stare i młode służące posyłała z listami w których pisała wszystko, co chciała. Czy służące te jednak były wiernie oddane i zasługujące na zaufanie, szanowna osóbko? Czy żadna służąca nie przywłaszczyła sobie jakiego listu?

— Ach, Zelinda! — westchnęła biedna pani prawie że mdlejąc, oparłszy ręce na stole i chowając w nie twarz swoją, by nic już nie widzieć.

— Ttak, mmmoja pani, Zelinda właśnie! Przychodziła do mnie do fabryki, skoro ją gdzie posłano...

W tej chwili mąż uczynił toż samo co i pani. Pochylił się na stół, ukrył swą twarz, by nie widzieć nic absolutnie.

Strepsydes szlochał. Wtórowała mu słabo Mamonda. Provezza, stojąc wobec tych dwóch głów pochylonych, nie miał już nic do powiedzenia. Nie widziany przez nikogo wyjął z kieszeni jakąś ramkę z kartką za szkłem, poczem zaczął szukać na ścianie gwoździa małego. Znalazłszy go pod barometrem zawiesił ramkę z całym spokojem. Potem zaś znikł jak mara.

Gdy wreszcie małżonkowie przestali już szlochać, podniósłszy głowy i unikając przytem wzajemnie wzroku, spostrzegli, że prześladowca ich znikł. Odetchnęli z uczuciem ulgi. Mamonda wstała i zamknąwszy się w swoim pokoju pozostała tam do wieczora. Strepsydes zaś zaczął zbierać wszystkie listy anonimowe,a zebrawszy je wyszedł z domu, by odetchnąć świeżem powietrzem.

Spotkali się wieczorem przy stole, nic do siebie nie mówiąc. Nie mieli apetytu zupełnie. Nie mogliby wyrzec ani słowa, choćby prześladowca ich groził im za to śmiercią. Gdy już podano kolację, Strepsydes spostrzegł nareszcie na ścianie przed sobą piękną ramkę z autografem, którego nie mógł rozpoznać, który mu jednakże przypominał jeden z autografów Rossini'ego widziany przez niego kiedyś dawno również w ramce w salonie jakiegoś muzyka. Wstał w milczeniu i zbliżył się krokiem powolnym do ściany.

Tak, był to autograf; lecz bynajmniej nie autograf Łabędzia z Pesaro.

„Lambercie mój! Przeczytawszy, zniszcz to natychmiast... Byłeś silniejszym, czuję się jednak szczęśliwą, żem zwyciężona przez ciebie. Nie wiem, czemu teraz ci piszę, gdyż przecież za parę godzin będę miała przyjemność...

Charakter Mamondy.

*
* *

Cóż biedny Strepsydes miał robić? Co robić? Co począć? Jakże wiele myślał! Jak wiele cierpiał. Myślał nawet—z bólem niewątpliwie—o rozejście się z Mamondą, o rozstaniu się z Provezzą; w rzeczywistości jednak żal mu było i Mamondy i Pro-

vezzy i firmy *Provezza* i *Prevogna*. Ale trzeba było przecież czynić cośkolwiek. Zdradzony przez żonę, obrażony przez przyjaciela, musiał okazać jakiś gniew i rozdzielić go po połowie na dwie strony: trochę tam, trochę tam: na dom i na fabrykę, gdyż zarówno byli winni według jego mniemania, zarówno niegodziwi i okrutni Mamonda i Provezza. Zaczął od Mamondy. Działał z całą surowością unikając wszelkiej rozmowy. Ani słówka. Milczenie absolutne. Okazanie pogardy.

Również i Mamonda milczała. Z jej ust wychodziły jedynie jęki przerywane, westchnienia; oczy jej były niezmiernie łagodne; patrzała jak jagnię zabłąkane. Niekiedy nie zdawała sobie sprawy zupełnie, co się z nią dzieje, nie wiedziała gdzie jest, nie wiedziała kto to był ten człowiek przesuwający się tuż przed nią, nie poznawała rzeczy, które ją otaczały, mebli, łóżka. Nie zdawała sobie nawet sprawy, kim była ona sama, ona, która się nazywała Mamondą, czyli Raimondą. Była kobietą dojrzałą czy dziewczynką? Czy ukarał ją ktoś, czy też sama siebie karze?

Otóż raczej siebie samą karała ta kobieta czy może dziewczynka Mamonda. Strepsydes chciałby ją może ukarać. Chciałby kazać jej przerwać leczenie zębów: nie chodzić do dentysty zupełnie? Zrobione: Mamonda nie była już tam ani razu. Nie wychodzić z domu czas jakiś? Zrobione: ani nogą nie stanęła poza domem. Chciał by nie mówiła doń ani słowa, by okazała lęk i wstyd? Zrobione: Mamonda nie śmiała nań wzroku swego podnieść. Słowem, we wszystkiem go uprzedzała, raczej ona była osobą *działającą*. Mamonda czuła instyktownie „co należało czynić", „co się czyni" w podobnych wypadkach. Usuwała się od wszystkiego, lecz się nie wyrzekała trzymania ręki na pulsie ukrytego ich życia.

Provezza czynił podobnież. Był pełen życia, energji. Strepsydes, choć bardzo obrażony, nie mógłby przecież zbyt wielkiej przykrości uczynić wspólnikowi swojemu. Z drugiej strony Provezza pragnął, by Strepsydes otrzymując odeń to, co dawał mu dobrowolnie, czuł, że na to nie zasługuje. Należało mu się trochę uprzejmości, dobrodusznego uśmiechu? Proszę bardzo: „najdroższy Prevogna", „mój kochany Strepsydesie", „najmądrzej w świecie powiadasz", „wszystko to się zrobi". Zależało Provezzie na tem, by upokorzyć Mamondę, by przestąpienie progu gmachu Montuschi na zawsze jej było wzbronione, by skandal w domu nie poszedł na marne, jak skandal na placu. Tym razem rzeczywiście najdroższy Prevogna i kochany Strepsydes czynił wrażenie, że nie ustąpi. Przecież niemylnie jest to charakter jej pisma.

Minęło tak dni dwadzieścia. W ciągu tych dwudziestu dni Mamonda nie wyrzekła ani słowa do Strepsydesa, Strep-

sydes nie wyrzekł ani słowa do Mamondy. Okrucieństwo jego jednak wydawało mu się zbyt wielkie. Małżonek spojrzał lękliwie na żonę. I jego wzrok był wzrokiem jagnięcia zabłąkanego w jakimś wąwozie. Żona pierwsza szepnęła tonem bolesnym:

— Strepsydesie...

Lody zostały przełamane. Rozpoczął się nowy miesiąc miodowy. Tyle sobie powiedzieli choć prawie nic nie mówili! „Mamondo!" „Strepsydesie!" „Strepsydesie..." „Mamondo..." Nic innego mówić do siebie nie mogli po tych dniach dwudziestu upartego milczenia. A jednak tyle sobie powiedzieli: „Mamondo..." „Strepsydesie..."; tyle sobie powiedzieli, choć były to słowa zawsze te same, lecz wypowiadane w miłości. Kochali się. Kochali się wzajemnie. Mąż i żona kochali się znowu wzajemnie!

Gdy więc tak się kochali, a było to przecież prawdą, nie ulegającą wątpliwości najmniejszej, Mamonda rzekła do Strepsydesa, że dentysta, czyli raczej odontotechnik nadeśle wkrótce zapewne rachunek za wizyty. Niechętnie się płaci rachunki dentystów. Lecz trudno. Trzeba przecie zapłacić. Ale...

— Rozumiem. Jeszcześ nie skończyła leczenia. Ząbki w usteczkach...

— Rachunek byłby zupełnie ten sam. Mogłabym nie wydawszy ani jednego solda więcej...

— Zapewne... skoro uważasz za właściwe...

— Więc nie! Jeśli uważasz, że to nie jest konieczne...

— Ależ tak, moja droga, ależ tak! Może jednak lepiej będzie, jeśli zaczekasz dni pięć albo albo sześć...

— Pięć albo sześć... Zaczekam sześć albo siedm... Mamonda była tak dobrą, tak posłuszną, tak uprzejmą, że nie czekała już tylko dni pięciu, czy sześciu, czy nawet ośmiu, lecz całych dni piętnaście, zanim przekroczyła znowu zakazane progi. Przekroczyła je naturalnie z miną strapioną, z jaką zwykle się idzie do dentysty. Wróciwszy, miała tenże sam wygląd, to samo pełne wdzięku zmęczenie, jak zazwyczaj, gdy wracała od dentysty. Rękę zdobną w klejnoty trzymała przy ustach, dając do zrozumienia Strepsydesowi, że dziąsła... zwłaszcza dziąsła... oj, oj! A oto Strepsydes już się zbliża z przepięknem puzderkiem.

— Pudełeczko!

Teraz jednakże był to podarunek inny niż zwykle. Nie była to już rzecz przeznaczona jedynie na chronienie zawartości. Mamonda się uśmiechała jak mała dziewczynka. Nacisnęła guziczek i oblicze jej zajaśniało błogością na widok klejnotu.

— Cóż to za wspaniały podarek!

Poczem się uśmiechnęła do męża.

— Strepsydesie...

Ucałowała go w czoło.

— Jakiś ty dobry!

MINJATURY

W HERBACIARNI

JADWIGA DOMAŃSKA



Gejsza zwana „Zielonym Nenufarem“ wytarła naperfumowaną chusteczką palce, dotknęła zlekka spiętrzonej fryzury, drobniutkiemi kroczkami przebiegła herbaciarnię i zatrzymała się w wcięciu drzwi wiodących do ogrodu.

Przed chwilą właśnie odłożyła samesen. Wśród ścian tea-roomu wibruje jeszcze echo strun, wysoki ton, monotonny jak brzęczenie komara, to znów przechodzący w bezsensowny pozornie dźwięk niespokojnie targanych strun. Ale przy końcu koncertu było już wszystko w grze gejszy. I brzęczenie komara i szum targanych wichrem, ryżowych trzcin i kumkanie żab i skarga malutkiej duszyczki, która opowiada że jej smutno. Aż zadrgały struny głosem donośnym jak śpiż i pieśń się urwała...

Trzy malutkie gejsze siedzą napuszone w szeroko rozpiętych, barwnych „obi“ — na macie. Ich delikatny śmiech plącze się z dźwiękiem porcelanowych czareczek, napełnionych herbatą. Odpoczywając po koncercie, piją herbatę powoli, z wymuszonym wdziękiem.

Tylko „Zielony Nenufar“ nie pije herbaty. Pobiegła do ogrodu, gdzie jest minjaturowy staw i altanka, jak domek dla lalki. Kwitną tam też olbrzymie, rozczochrane chryzantemy. Jedne są liljowe jak wierzchołki gór o zmierzchu—inne różowe jak szczyt „Fukai“ o świcie. Gejsza zerwała dwa ciężkie kwiaty i w kapryśnych skrętach chłodnych listków ukryła delikatne policzki. Bo „Zielony Nenufar“ jest natchnioną artystka i po każdym koncercie krew rozpala jej policzki i mocno tętni w skroniach. Wilgotne listki rozczochranych chryzantem chłodzą przez dotknięcie i odświeżają policzki Gejszy.

W herbaciarni rozpoczyna się znów koncert. „Zielony Nenufar“ wraca śpiesznie... Za chwilę rozpocznie się jej występ.

Malutka, może dziesięcioletnia „musme“ wpada i podbiega do wchodzącej z ogrodu gejszy.

„O, „Zielony Nenufarze“, mówi śpiesznie jej, już nie ma naszej matki. Przed chwilą przeszła pośród cienie swoich przodków“.

Gejsza powolutku osuwa się



na matę. Czarny kok połyskiwa kulą, zniża się i dotyka posadzki. Z szelestem wypadają z rąk sztywne, rozczochrane chryzantemy. Delikatne paluszki zagłębiają się w płatki kwiatu, kurczowo gniotą głowy chryzantem. Pierwsza połowa koncertu dobiega końca, teraz ma grać ona.

„Zielony nenufar“ wstaje, chwiejąc się na nogach Oczy ma błędne i pokryte wilgotnem szkliwem—ale usta... usta się uśmiechają.

Już dźwięczy jej samesen wysoką struną. Gejsza przymknąwszy oczy — śpiewa.

Na macie więdną poszarpane chryzantemy — one jedne widziały łzy malutkiej gejszy.



PLOTKI O MODZIE I INNYCH SPRAWACH MIŁYCH A ZBYTKOWNYCH.

WELL.

KŁOPOTY PIĘKNEJ PANI

Świat renesansu i średniowiecza trawił długie a mozolne wieki nad wynalezieniem kamienia filozoficznego, przyczem żaden z nich właściwie nie wiedział jaki ma być ten kamień i do czego służy. Przebąkiwano wprawdzie, że ma właściwość zamieniania żelaza na złoto, ale nikt tego nie sprawdził osobiście, nikt też tak bardzo w to nie wierzły. Współcześni biedzą się nad kwadraturą koła i czwartym wymiarem, które mają z kamieniem filozoficznym tę wspólną cechę, że ani się wyobrazić ani zużytkować nie dadzą. Piękna pani, posiadająca wybitny zmysł praktyczny nie trwoni czasu nad rozważaniem podobnych zagadnień żmudnych a jałowych, dla niej rozwiązaniem kwadratury koła byłoby rozstrzygnięcie problemu zachowania wytworności i elegancji wobec ogólnej tendencji oszczędnościowej i coraz bardziej dającego się we znaki braku gotówki. Jedna z uroczych artystek warszawskich panna M. Malic...a chcąc dać przykład oszczędności wystąpiła na scenie Teatru Małego w kostjumie bibułkowym. Było to ładne, fantastyczne, zostawiało szerokie pole do działania wyobraźni poetyckiej... niestety całkiem niezastosowalne, trudno wyjść na ulicę, a chociażby przyjąć interesanta w biurze, lub gościa w domu, owinąwszy się w papierowe barwne szmatki. Sztuka prędko zeszła z afisza, publiczność woli podziwiać srebrne koronki i strusie pióra pani L. Mes...al, których to wspaniałości nie jest podobno w stanie opłacić ani sama diva, ani teatr pomimo wzmożonej frekwencji. Cóż ma wobec tego począć zwykła śmiertelniczka, której los poskąpił głosu i rozgłosu naszej primadonny, a która mimo to jest piękną i pragnie być strojną? Jak zmusić zeszłoroczne wązkie sukienki, aby się zamieniły na sute skomplikowane klosze, które rozrzuciła bez apelacji samorządna władczyni Moda. Skąd się zdobyć na złote koronki, farbowane pod kolor ubrania futra, wreszcie na oddzielny płaszcz do każdej sukni, gdyż posiada podobno takowy każda szanująca się Paryżanka. I to wszystko z urzędniczej lub oficerskiej pensji męża, z własnych dorywczych zarobków, uprawianych czasem kradzionym od zajęć gospodarczych i rodzinnych. A jednak dzieją się cuda (czyż nie słusznie zakochani i poeci nazwali piękną panią czarodziejką?) mimo wszelkie kataklizmy dziejowe i coraz fantastyczniejsze pomysły p. Grabskiego, mijają nas na ulicy Warszawy roje eleganckich kobiet

ubranych według ostatniego żurnala. Oburzenie zostawmy hipochondrykom i moralistom, lepiej popełnijmy niedyskrecję i zajrzyjmy późno wieczorem do pokoju pięknej pani. Niezmęczona wyczerpującym dniem pełnym zajęć obowiązkowych i towarzyskich, zasiadła do rewizji swej garderoby. I czarodziejskie rączki pani dokonują istnych cudów. Zeszłoroczny kapelusz obciąga się na nowo, wygina w sposób odmienny i oto naśladuje do złudzenia ostatni model z Femina. Z dwóch zeszłorocznych wązkich sukien powstaje jedna, modna kloszowa budząca zachwyt śmiałością pomysłu i oryginalnem zestawieniem barw. Co to musi kosztować?! myślą niewtajemniczeni nie wiedzący o tem, że każda Warszawianka posiada istny genjusz toaletowy, który pozwala nieraz skromnej biuralistce konkurować co do elegancji z damą wydającą po kilka tysięcy miesięcznie na fatałaszki. Nie wątpimy więc, że i tym razem kłopoty pięknej pani rozwiążą się pomyślnie, że będziemy podziwiać nowe arcydzieła jej pomysłowości.

E. M. BERRETTA MORENO

ATLANTYDA

Spokój rozlał się wszędy... W błogim spokoju pogrążyła się dusza... Ostatnie promienie słońca złociły jeszcze piasczysty brzeg morski... Cień wstawał w milczeniu .. Spokój rozlał się wszędy. .

Pogrążyłem się w rozkoszną zadumę. Nie chciałem wieczoru konania, stłumiłem w sobie mękę upiorną, bunt straszny.. Pogrążyłem się w rozkoszną zadumę...

Lecz oto słońce, jakgdyby pragnąc się zemścić za otwarty swój grób, ostatnim światła przebłyskiem zapaliło niebo i ziemię łuną czerwoną. Nie chciało jeszcze zapaść do grobu.

I w sobie też ogień uczułem... Uczułem jak spłonął spokój mój cały. Płonąc rozszalałem płomieniem, stałem na brzegu. Ogień palący uczułem!

Spalony brzeg morski pociemniał. Słońce pogrążyło się w morzu. Niebo okryło się ciemnym błękitem... Brzeg morski pociemniał.

Zostałem w mrokach zgnębiony. Pożerał mię ogień wewnętrzny. Jak Atlantyda tonęła płonąca ma dusza w łez oceanie. Zostałem w mrokach zgnębiony.



L. LUGONES

RADA MĘDRCA

OLBRZYMEM BYĆ CHCIAŁBYŚ? BĄDŹ ZWYKŁYM CZŁOWIEKIEM; NA KROPLĘ JEDNAKŻE ZWAŻ ROSY, CO LAZUR ODBIJA NIEBIESKI W SWEM CZYSTEM ZWIERCIADLE. TAM CAŁE W NIEJ NIEBO, SAMA WIĘC NIEBEM SIĘ STAJE. JAK ONA BĄDŹ NIEBA ODBICIEM, JAK ONA NIEBO MIEJ W SOBIE.



OBLICZA I MASKI

Uświadamiając sobie w pełni doniosłe znaczenie jakie odgrywa w życiu społeczeństwa sztuka teatralna i kinematograficzna, redakcja „Lektury Wolnych Chwil", celem ułatwienia czytelnikom orjentowania się w repertuarze teatrów i kin postanowiła podawać w każdym numerze krytyczne treściwe recenzje pod hasłem objektywizmu i Czystej Sztuki oświetlając jednocześnie wszelkie sprawy, dotyczące teatru i kina.

Szereg ludzi zaabsorbowanych codzienną walką o chleb nie znajduje czasu ani możności śledzenia rozwoju teatru oraz studjowania literatury teatralno kinowej i kierując się jedynie bądź szablonową opinją ogółu, niezawsze miarodajną, bądź to głosami prasy codziennej, skrępowanej częstokroć względami ubocznymi — zamiast osiągnięcia maximum wrażeń dodatnich wychodzi z teatru czy kina z rozczarowaniem, z dozą niesmaku i żalu.

Ten wzgląd mając na celu, pragniemy spieszyć czytelnikom z pomocą.

Teatr i kino kształtują życie duchowe człowieka dzięki wielkiej, istotnej ich spójni: dopełnianiu się wzajemnemu i przenikaniu: źródłem sztuki teatralnej jest życie, które z kolei, uwypuklone w momencie przejawów swych na scenie — dzięki perspektywie i oswobodzeniu z czynnika bezpośredności przekształca biorącego poprzednio w niem udział człowieka w widza.

Człowiek, stawszy się widzem reaguje inaczej — spostrzega to samo życie w ramie teatru wyraziściej, krytyczniej drgnienia subtelne w życiu codziennem niedostrzegalne — podpatrzy, ujmuje łańcuch przyczyn lub fatalizm przypadku, budzi się w nim krytycyzm, refleksje... Tu leży doniosłe zagadnienie roli teatru w życiu indywiduum.



ŚWIATŁA I CIENIE

Kino t. z. „X Muza" dzięki sztuce oddawania całego rytmu życia, mając tę wyższość nad teatrem, że jest bardziej ogólnoludzkie oraz międzynarodowe, posiada znaczenie ogromne i przyszłość przed sobą — w ostatnich latach dąży w przyspieszonym tempie do pełni swego rozwoju. Znaczenie kina w dobie dzisiejszej niedostatecznie jeszcze zrozumiane i wyzyskane.

Bardziej popularne od teatru — kino skupia przy sobie wszelkie warstwy społeczeństwa i odkrywa tajemnice życia każdej z nich. Uwzględniając szeroką skalę rodzaju filmów, oraz indywidualne upodobania, redakcja „Lektury Wolnych Chwil" ma nadzieję, że czytelnicy przychylnem okiem przyjmą treściwe oceny filmów. Następny numer „Lektury Wolnych Chwil" da czytelnikom próbę naszych zamierzeń.

Redaktor FRANCISZEK BATUREWICZ Wydawca LEONARD ŻYCKI